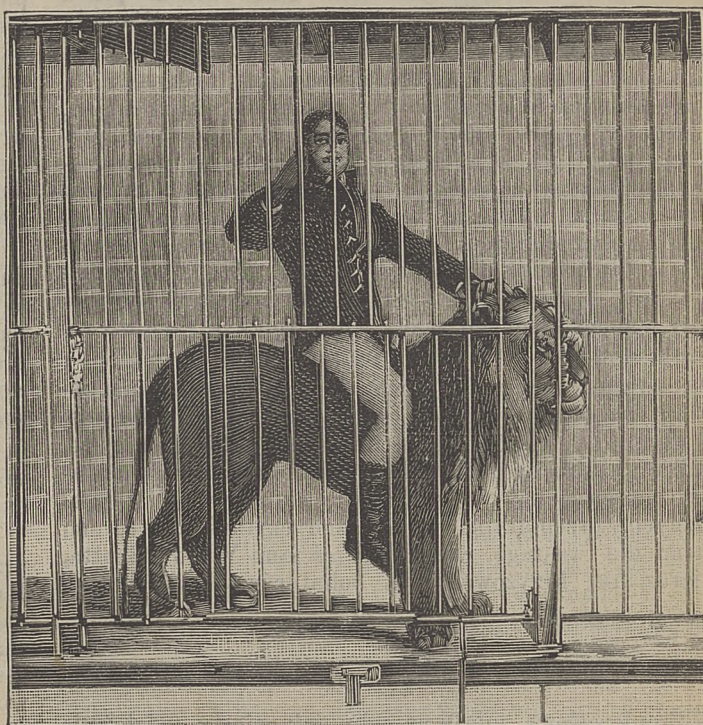




# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## LEW W MENAŻERYI.

Niejeden z was, młodzi czytelnicy, widzieć musiał w menażeryi lwa, tego króla zwierząt, którego groźny ryk trwogą najśmielszych przejmując, i którego sile mało bardzo zwierząt oprzeć się jest w stanie. Patrząc na tego najstraszniejszego z drapieżnych czworonogich, dziwiłicie się zapewne odwadze ludzi, umiejących ujarzmić owego króla pustyni i zmusić go, niby pojętnego i posłusznego psa, do wykonywania różnych sztuk dla zabawy zebranej publiczności. Sztuka takiego pogromcy dzikich zwierząt zależy głównie na śmiałości, zimnej krwi i przytomności umysłu. Zauważono oddawna, że każde zwierzę okazuje więcej potulności na odkrytem miejscu, niżeli przyczajone w kryjówce swojej; kot np., gdy go wyciągnąć chcemy z pod stołu lub łóżka, broni się pazurami, czego nie śmie robić gdzieindziej. Znając tę naturę drapieżnych zwie-

rząt, pogromcy w menażeryi, gdy wchodzą do klatki, przede wszystkim zastępują kratę, przez którą zwierzę ujęć przed nimi usiłuje. Nie sądźmy jednak, iżby takie tresowanie dzikich czworonogich mieszkańców pustyni nie było połączone dla człowieka z niemałym niebezpieczeństwem; może on im jedynie narzucić wolę swoją i zmusić do posłuszeństwa wielką stanowczością w postępowaniu z niemi, skoro tylko bowiem lew dostrzeże najlżejszą chwiejność w ruchach, lub wyrazie twarzy swego pogromcy, nie omieszka z tego korzystać i widowisko kończy się wówczas najczęściej tragiczną śmiercią śmiałego człowieka. Urodzone i wychowane w menażeryach lwy łatwiej daleko dają się przyswajać, i tylko zbyt nadużycie ich cierpliwości pociąga za sobą smutne wypadki. Zdaje się, jakoby i te drapieżne istoty uniały cenić dobre obejście

ludzi. Pewien pogromca zawód swój pogromcy zwierzał rozpoczął od pielęgnowania rannej lwicy, czem ją stale do siebie przywiązał. Jak dalece potrafi pogromca łagodnością oblaśkawić dzikie zwierzęta, mamy tego dowód na dołączonych dwóch rycinach. Lwy trudniejsze do oswojenia usypiają za pomocą narkotyku, w czasie snu nakładają im kagańce na paszczę, kolczaste obroże na kark i pochwy na pazury. Po przebudzeniu zwierzęta, widząc bezsilność swoją, przyuczają się z wolna do spełniania woli człowieka.

## WOJNY KRZYŻOWE.

W roku bieżącym upływa ośmset lat od rozpoczęcia się jedyne w dziejach okresu, zwanego wojnami krzyżowymi czyli krucyatami. Duchowieństwo francuskie z licznym współudziałem ludzi świeckich obchodziło uroczyste tę sławną rocznicę w mieście Clermont-Ferrand, gdzie właśnie przed ośmiu wiekami na soborze pod przewodnictwem Papieża Urbana II-go postanowioną została pierwsza krucjata.

Okres ten, trwający około dwustu lat (1096—1270), chociaż nie uwieńczony ostatecznym zwycięstwem chrześcijan, wywarł jednak wpływ ogromny na stosunki ludów europejskich i na rozwój ich cywilizacji. Nacelowany poświęceniem i szlachetnym zapałem, pełen bohaterских czynów i walk rycerskich, wzbudzał on zawsze niezmierny podziw i był nie tylko przedmiotem dociekań i badań historycznych, ale źródłem natchnienia dla poezji i sztuki. Do najwspanialszych utworów, których treść zaczerpniętą została z owej epoki, należy poemat słynnego poety włoskiego z XV-go wieku, Torkwata Tassa, pod tytułem: Jeruzolima wyzwolona.

Jest to więc pora nader stosowna do przypomnienia sobie historii wojen krzyżowych. Uczynimy to dziś dla was, kochani czytelnicy, choć w nader krótkim i pobieżnym rysie, ale z nadzieją, że rozbudzoną w tym kierunku a bardzo chwalebna i pożądana ciekawość postaracie się zaspokoić z dzieł historycznych, przepłatając to poważne czytanie niektórymi stosownymi dla waszego wieku powieściami Waltera Skotta, który nieraz brał krzyżowców za bohaterów do swych opowiadań.

### I.

Wojny krzyżowe miały na celu, jak wiecie, odebranie niewiernym Ziemi świętej, a zwłaszcza Jeruzolimy, gdzie się odbyła męka Chrystusa Pana, i znajduje się Grób Jego.

Te święte miejsca, jak dziś tak i wówczas, były przedmiotem najwyższej czci wszystkich chrześcijan i celem ciągłych i licznych pielgrzymek. „Jeruzolima, powiada jeden z poetów XIII wieku, powinna przyciągać wiernych, jak magnes przyciąga żelazo, jak owca przyciąga jagnię mlekiem swoim, jak morze przyciąga rzeki, którym dało początek”.

To też mieszkańcy zachodniej Europy od chwili przyjęcia prawdziwej wiary chrześcijańskiej starali się zawsze odbywać pielgrzymki do Ziemi świętej. Zapał do nich wzrósł znacznie w X-m wieku z powodu panującego wówczas powszechnie przesądu, iż koniec świata nastąpić ma w tysiącnym roku. Wobec grozy tak blizkiej i powszechnej śmierci wszystkie inne sprawy doczesne szły na bok, i kto mógł tylko, bez różnicy stanu a nawet płci, hrabiowie i baronowie, wassale i ludzie z gminu, ślubowali pielgrzymkę do Ziemi świętej, aby wybłagać u Pana przebaczenie grzechów.

A pielgrzymki w owe czasy była to pokuta prawdziwa, pokuta ciężka i nieraz śmiertelna! Nie mówię już o umartwieniach i niebezpieczeństwach, połączonych z tak daleką podróżą. Dzisiaj przy kolejach żelaznych i drogach bitych,

przy ogólnym porządku społecznym i bezpieczeństwie publicznym, niepodobna sobie nawet wyobrazić, z jakimi trudnościami połączoną była każda dalsza podróż. Miesiącami, a nieraz latami całemi trzeba było konno lub pieszo dążyć z zachodniej Europy do Palestyny, przedzierać się przez lasy, przechodzić w bród rzeki, piąć się po wąwozach górskich, ciągnąc za sobą tabory z zapasami, jeśli stać na to było, lub żebrać o żywność gdzie się zdarzyło. Nie obywało się też bez napaści i grabieży, bez walki i bojów, bo chociaż pielgrzymi do Ziemi świętej cieszyli się poważaniem ogólnem wśród chrześcijan, ale w tych dzikich jeszcze czasach wałęsało się wszędzie dużo łotrzyków łakomych na wszystko, co zagrabieć można, a i sam kwiat ówczesnego społeczeństwa, to jest panowie feudalni nieraz nie ustępowali w chciwości włóczęgom i rozbójnikom i pod różnymi pozorami krzywdzili i więzili biednych pielgrzymów. Droga morzem na okrągłych nawach żaglowych, mających kształt łupiny orzechowej, lub na długich galerach, poruszanych wiosłami, nie była przyjemną i bezpieczną.

Ale z temi wszystkimi trudnościami twardy i przejęty świętością celu swej wyprawy pielgrzym godził się jeszcze, uważał je za naturalne i konieczne. Prawdziwe niebezpieczeństwa, prawdziwy czyściec poczynił się dopiero wtedy, gdy pielgrzym opuszczał już kraje, będące pod berłem chrześcijańskim, i stawał swą zbolałą nogą na wybrzeżu Syrii lub na gruncie Azji Mniejszej. Tam czekał na niego wróg straszny, którego ani ubiedz ani obejść nie było sposobu, bo dzierzył w swych kleszczach święte miasto i Grób Święty, wróg, nienawidzący wszystko, co było obcem wierze Mahometa, a zwłaszcza chrześcijan. Wrogiem tym było plemię Turków-Seldżuków, które opanowało Syryę, Palestynę i większą część Azji Mniejszej.

Prowincje te należały poprzednio do cesarstwa wschodniego czyli greckiego, którego stolicą był Konstantynopol. W VII wieku po narodzeniu Chrystusa Pana Arabowie czyli Saraceni, przyjąwszy nową naukę mniemanego proroka swego Mahometa (622 r.) rzucili się, jak fala niszcząca, pod dowództwem kalifów czyli następców Mahometa na sąsiednie kraje i podbili je.

Jedną z pierwszych ich zdobyczy była Palestyna i już wówczas doła chrześcijan miejscowych i przyjezdnych stała się okropną.

Z biegiem czasu jednak prześladowania chrześcijan przez Arabów zmniejszyły się. Najrozumniejszy z kalifów Bagdadzkich Harun-al-Raszid, współczesny Karolowi Wielkiemu, pierwszemu cesarzowi Rzymsko-Niemieckiemu, obawiając się, aby chrześcijanie z zachodu nie przybyli z pomocą cesarstwu greckiemu, a przytem mąż wielkiej prawości i uczciwości, nie tylko nie sprzeciwiał się pielgrzymkom do Jeruzolimy, ale ułatwiał nawet dostęp do miejsc świętych i otoczył pielgrzymów pewną opieką.

(d. c. n.)

## DŁUG OJCOWSKI

POWIEŚĆ

przez H. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

Gdy Stenia wchodziła za nią do izdebki, ruch się tu zrobił niezwykły. Ojciec i syn zerwali się na równe nogi, wysunęto na środek najlepsze krzesło, z którego majstrowa zaczęła jeszcze kurz ścierać, zanim przysunięto je Steni. Stenia prosiła, aby nie zważano na jej obecność i nie przerywano sobie zajęcia, jakoż majster nie dał sobie długo perswadować i pochylił się nad robotą; kuj! kuj! kuj! zaczęło się rozlegać

po izdebce uderzenie młotka o skórę, ale równocześnie ojciec Józia nie przestawał rozmawiać, rozpoczynając tak, jak jego żona, od pochwał brata Steni i od wyrażania swej wdzięczności dla niego.

— Dla brata mego to ogromna przyjemność pomagać takiemu pilnemu i pojętnemu chłopcu, jak Józio—powiedziała Stenia.

— O! tak, proszę panienki — zawołał majster z zapałem — ten chłopak jak się dorwie do skrzypiec, toby już nie jadł, nie spał, tylko grał i grał, ciągiem, bez żadnego wytchnienia. Mały jeszcze był, proszę panienki, tyli, pędrak przy samej ziemi, chodzić prawie jeszcze nie umiał, a już sobie struny nawiązał na deseczkę i skrzypił na nich, jak ten świerszcz za piecem.

Kuj! kuj! kuj! rozlegało się po izdebce.

— Miał widocznie wrodzony dar do muzyki — powiedziała Stenia.

— A tak, proszę panienki — przywótzył majster. — Ale to upodobanie poszło widocznie u niego od jego dziadka, a mego ojca.

— To pana ojciec miał także zamiłowanie do muzyki? — zapytała dziewczynka.

— Ho, ho! i jak jeszcze, proszę panienki. Ojciec mój umiał grać na fortepianie i na skrzypcach, ale szczególnie upodobał sobie skrzypce. Wieczorem, bywało, jak zasiądzie, jak zacznie grać, to i o świecie Bożym zapomni, nieraz gwiazdy na niebie pobledną, świt nastaje, a ojciec siedzi ze swemi skrzypcami i ciągle jeszcze gra. I uczniów też miał mnóstwo, wszystko to sami panice, tak jak brat panienki; wszyscy ojca lubili i szanowali bardzo.

— Więc to ojciec pana był nauczycielem muzyki?

— A tak, proszę panienki. I gdyby ojciec żył, byłby nami też pokierował na świecie. Ale przysła choroba, ciężka i długa; co było zasobu w domu, niszczało, tu ojciec chory, a tu dzieci potrzebują jeść przecież, więc zwolna zaczęło się i sprzęty wyprzedawać co kosztowniejsze, w domu pustoszało. Ojciec leżał cały rok, proszę panienki, bieda była ogromna, ale matka kryła ją, jak mogła, przed ojcem, żeby mu ostatnich chwil nie zatrucić, a on nic, tylko wodzi za nami oczami błyszczącymi od gorączki, a te oczy jego takie pełne smutku, że choć małe dzieci poznawaliśmy się na tem i płakali po kątach.

Majster podniósł rękaw do oczu, jakby mu co zasłaniało źrenice, a po chwili mówił dalej:

— Matka ratowała ojca, jak tylko mogła, używała lekarstw, aż raz powiada do mnie: Wiesz co Kaziu, tatce dzisiaj, dzięki Bogu, lepiej. Porwałem się i pobiegłem do ojca. Siedział na łóżku, w czystej pościeli, a wyglądał całkiem ładnie. — Tatusiu! zawołałem uradowany, to tatusiowi już dziś dobrze? — A dobrze, synku, powiada. — Bo widzi panienka, nas, dzieci, kochał nieboszczyk okrutnie — a potem mówi znowu. — Podaj-no mi skrzypce, to je spróbuję. — Kiedy tak, myślę sobie, kiedy ojciec chce grać na skrzypcach, to już pewnie zdrow... Skrzypce wisiały na ścianie, nie mogłem ich dostać, więc wgramoliłem się na krzesło, zdjąłem z gwoźdźca i podałem ojcu. Oparł je o wychudzone piersi i grać zaczął, ale że nie miał siły, więc grał tak cicho, że ledwo co słyhać, a tu matka aż uciekła do drugiego pokoju i jak nie ryknie płaczem. Wtem ojcu wypadł smyczek z ręki, skrzypce opadły na pościel, przybiegliśmy do łóżka, spojrzal po nas jeszcze przytomnie, ale to było ostatnie jego spojrzenie, za chwilę już nie żył...

Znów rękawem przesunął majster po oczach, Stenia obawiała się przemówić, aby się nie rozplakać. Kuj! kuj! kuj! rozlegało się tylko w małej izdebce.

— Ha, cóż robić, wola Boska! — przemówił po chwili majster. — Po śmierci ojca matka borykała się z biedą, żeby nas, dzieci, jako tako utrzymać i wychować, i gdyby żyła, byłaby pokierowała nami, ale poszła niedługo za ojcem. Zostaliśmy małemi sierotami, ja miałem wówczas lat osm, brat cztery — bez opieki żadnej i bez nikogo bliższego, bośmy nie pochodzili z tych stron, więc tak poniewieraliśmy się po lu-

dziach, Bóg strzegł tylko, żeśmy jednak na żadnych nieponi nie wyszli, ale pracujemy uczciwie, choć w biedzie. Co robić?

Tak tedy, proszę panienki, mówiąc o tym moim chłopcu — zaczął znów majster — ale już weselej, jak tylko spostrzegłem w nim to upodobanie do skrzypiec, zaraz mi przyszedł na pamięć mój nieboszczyk ojciec i już nie miałem serca bronić mu tego, tylko mi go nieraz żał było, że mnie nie stać na naukę dla niego. Aż on raz wpada do mnie nieprzytomny prawie od wielkiej uciechy i powiada, że młody pan będzie go uczył. A niechże Bóg da zdrowie temu panu — myślę sobie, poszedłem zaraz, żeby podziękować, chciałem się jako odsłużyć, choćby buciki nowe zrobić, ale gdzie tam! ani nawet człowiekowi da przyjsć do słowa, jeszcze mnie zawstydził i z kwitkiem odprawił.

Stenia się roześmiała.

— Już on taki — powiedziała głosem stłunionym od radości.

— Ale paniusiu złota, kochana — zaczął majster, podchodząc do niej i patrząc jej w oczy z uśmiechem nieśmiało, niech panienka pozwoli, to ja panience zrobię takie trzewiczki, jakich nikt w całej Warszawie nie ma.

Zmieszana, lecz i rozczulona zarazem Stenia tą wdzięcznością prostego, ale uczciwego człowieka, zaczęła się śmiać, wymawiając, wtem na szczęście wybawił ją z kłopotu Janek, którego ujrziała przez okno, powracającego z miasta. Pożegnała uprzejmie całą rodzinę i pobiegła naprzeciw brata, który został mile zdziwiony jej widokiem.

— Cóż cię tu sprowadziło? — pytał, kiedy znaleźli się w jego mieszkaniu.

— Chciałam się ciebie położyć w jednej rzeczy.

— Trzeba mnie było wezwać listem miejskim, byłbym przybiegł natychmiast, nie byłabyś się sama trudziła i tam u nich nie czekała na mnie.

— Kiedy chciałam się z tobą swobodnie rozmówić, a na pensyi niezawsze można.

— Prawda i to. O cóż ci chodzi, Steńko?

Stenia opowiedziała rzecz całą, Janek w miarę, jak słuchał, posepniał coraz bardziej.

— Nie, nie! — zawołał, gdy skończyła — ja tego nie chcę wcale, żebyś ty miała pracować w celu zarobku.

— A ty nie pracujesz? — rzekła Stenia, podnosząc na niego oczy.

— Ja co innego, ja jestem mężczyzną, pracować to mój święty obowiązek i oczyścić ze skazy imię ojca.

Stenia pochyliła głowę i milczała chwilę, poczem, podnosząc ją, wyrzekła zwolna głosem pełnym przekonania:

— Mylisz się Janku, tam gdzie idzie o spełnienie obowiązku, nikt się usuwać nie powinien, chyba ty ten, kto nie ma jego poczucia, ale to byłby lichy człowiek. Zresztą pomyśl, jakie to będzie dla mnie szczęście, skoro kiedyś, gdy spłacimy dług ojcowski, ja będę mogła sobie powiedzieć, że w tem była częśćka mojej pracy i mojej zasługi, i powiedz sam, czy dlatego nie warto znieść nawet wielkich przykrości, gdyby mnie te spotkać miały?

Janek uściśnął dłoń siostry.

— Jak ty wymownie umiesz przekonywać, Steńko! — zawołał. — Ha, dobrze, chcesz, spróbuj! Wierzę, że pani Kolińska zna dobrze dom i osobę tej pani, i nie zachęcałaby swoich pensjonarek do przyjęcia obowiązku u ludzi złych lub źle wychowanych, ale z tem wszyszkim nie będę spokojny o ciebie. Możesz być narażoną na przykrości o jakich nie masz pojęcia, dzieci które będziesz uczyć mogą ci się dać we znaki...

— Ja znam przecież Cesiuchną Romańską — zawołała z żywością Stenia, jest od pół roku na naszej pensyi; to bardzo dobra, miła i dobrze wychowana dziewczynka.

— Tak? To chwala Bogu. Z tem wszyszkim nie uspokoję się, dopóki nie wymogę na tobie słowa, że doniesiesz mi bezwzględnie, gdybyś w domu tych ludzi miała jakieś przykrości do zniesienia i wyjedziesz natychmiast do Ostrowej; ale nie, tam ospa panuje. Wiesz co? Przysyślę ci pieniądze i przyjedziesz do mnie, będziemy razem. Nie obawiaj się,

grosza nie ruszę z tych, co przeznaczone na nasz cel, daję ci słowo. Zresztą to dużo nie będzie kosztować.

Stenia zarzuciła bratu ręce na szyję.

— Mój ty opiekunie najmilszy — zawołała, śmiejąc się, ale ze łzami w oczach — nie obawiaj się o mnie, bo przekonasz się, że wszystko będzie dobrze. Daję ci słowo, że niczego przed tobą nie będę ukrywać, a będę pisywać do ciebie choćby dwa razy na tydzień i radzić się we wszystkim.

Na szczęście obawy Janka nie spełniły się wcale. W domu państwa Romańskich Stenia była przyjęta, jak gdyby należała do członków rodziny. Dziewczynki, starsza Cesia, młodsza Ewunia, pokochały młodziechną swoją nauczycielkę nadzwyczajnie, tak je Stenia umiała zjednać swoją niewyczerpaną dobrocią, słodyczą charakteru i cierpliwością; do lekcji



Ormianka.

biegły ohotnie jedna przed drugą i zazdrosne były o każdą chwilę, spędzoną przez jedną z nich dłużej ze Stenią, a pani Romańska powtarzała przy każdej okoliczności, że nie bardziej nie pragnie, jak żeby jej córeczki stały się we wszystkim podobne do Steni, swojej młodej opiekunki. To też, pomimo swojej tęsknoty za bratem i za ukochaną Ostrową, Stenia czuła się bardzo szczęśliwą z pobytu swego w domu państwa Romańskich i listy pełne otuchy przesyłała Jankowi.

Wakacje były już na schyłku, zwolna mieszkańcy miast zaczęli się ściągać do swoich stałych siedlisk, i Janek pisał do siostry, że za kilka dni wraca także do Warszawy ze swymi uczniami. W rzeczywistości zaś wyjechali w parę dni po wysłaniu listu, bo Janek umyślnie prawdy nie napisał Steni, chcąc jej zrobić niespodziankę i zaskoczyć ją swoim przybyciem w Otwocku, gdzie dotąd w willi swej bawili państwo Romańscy.

— Patrz-no, Cesiu, co to za pan którego ja nie znam, siedzi z mamusią na werendzie — zawołała żywa jak iskra Ewunia, gdy dziewczynki wracały do domu z lasu, gdzie chodziły w towarzystwie swojej młodziutkiej nauczycielki,

Stenia spojrzała także, i serce zaczęło jej żywo bić w piersiach. Co znowu, byłżeby to Janek? ale skąd? jakim sposobem? przecież za kilka dni miał dopiero powrócić. Ów młody pan podnosi się i bieży na ich spotkanie. Ale tak! to Janek, niema żadnej wątpliwości, wysmukły jak topola, rozrósł się jakoś, zmężniał, to już prawdziwy mężczyzna, nie dziwnego, przecież to już ośmioklasista płeć mu ściemniała na wietrze i morskiem powietrzu. Stenia biegnie, wyprzedzając swoje uczennice, i rzuca się w jego otwarte ramiona. Nastąpiły pytania i odpowiedzi: co? jak? dlaczego przybył wcześniej, kiedy miał wrócić dopiero za dni kilka. Kłamstwo Janka się wydało. Teraz przybywa prosto z Warszawy, przywozi ukłony od pani Kolińskiej i panny Elizy, gdyż te panie również już przybyły. Miał też list od stryja, krótki, jak zwykle, zaledwo słów kilka, wyraził mu swoje zadowolenie z przejścia do klasy ósmej i nic więcej.

Wieczorem tego samego zaraz dnia chciał Janek wracać do Warszawy, ale państwo Romańscy oświadczyli mu, że kładą na niego areszt i nie puszcza go aż razem z sobą zabiorą z powrotem. Janek się tłumaczył, ale nie chciano przyjąć żadnej jego wymówki, i Stenia przez kilka dni była razem z bratem, za co czuła wielką wdzięczność dla państwa Romańskich.

— Oni są dla mnie tak dobrzy, że wypowiedzieć tego nie umiem — mówiła do brata. — Ale co więcej, są to ludzie, jak ich poznałam, z wielkim charakterem i zasadami najzajacniejszymi. Wiesz, Janku, ja wiele, wiele skorzystałam od czasu, jak tu jestem.

— Ty? — uśmiechnął się Janek niedowierzająco, on, który tak cenił charakter i zalety swojej siostrzyczki.

— Tak, ja — potwierdziła Stenia, nie widząc jego uśmiechu. — Pani Romańska naprzykład chowa dzieci swoje bardzo skromnie i nie pozwala na żadne kosztowne wydatki, twierdząc, że dopóki jeden człowiek na świecie cierpi nędzę, zbytki, popełniane przez innych, są ciężkim grzechem. Ja się długo nad tem zastanawiałam i przysłałam do przekonania, że tylko zaci ludzie tak myślą.

— O! z pewnością.

— Albo wiesz? pamiętasz, coś mi zawsze opowiadał, jak ciebie nauczał ojciec, że lepiej własną znieść krzywdę, niż skrzywdzić kogoś: oni to samo zawsze dzieciom powtarzają.

— A dzieci chętnie przyjmują ich słowa?

— Dzieci? Boże drogi! one tak kochają rodziców, jak my kochaliśmy naszych.

— Nic dziwnego.

— To też mnie jedna myśl przychodzi do głowy.

— Jaka?

— Że jak ty zostaniesz skończonym człowiekiem i osiadziesz w Ostrowej za lat kilka, to się ożenisz z Ewunią.

Janek potrząsnął głową.

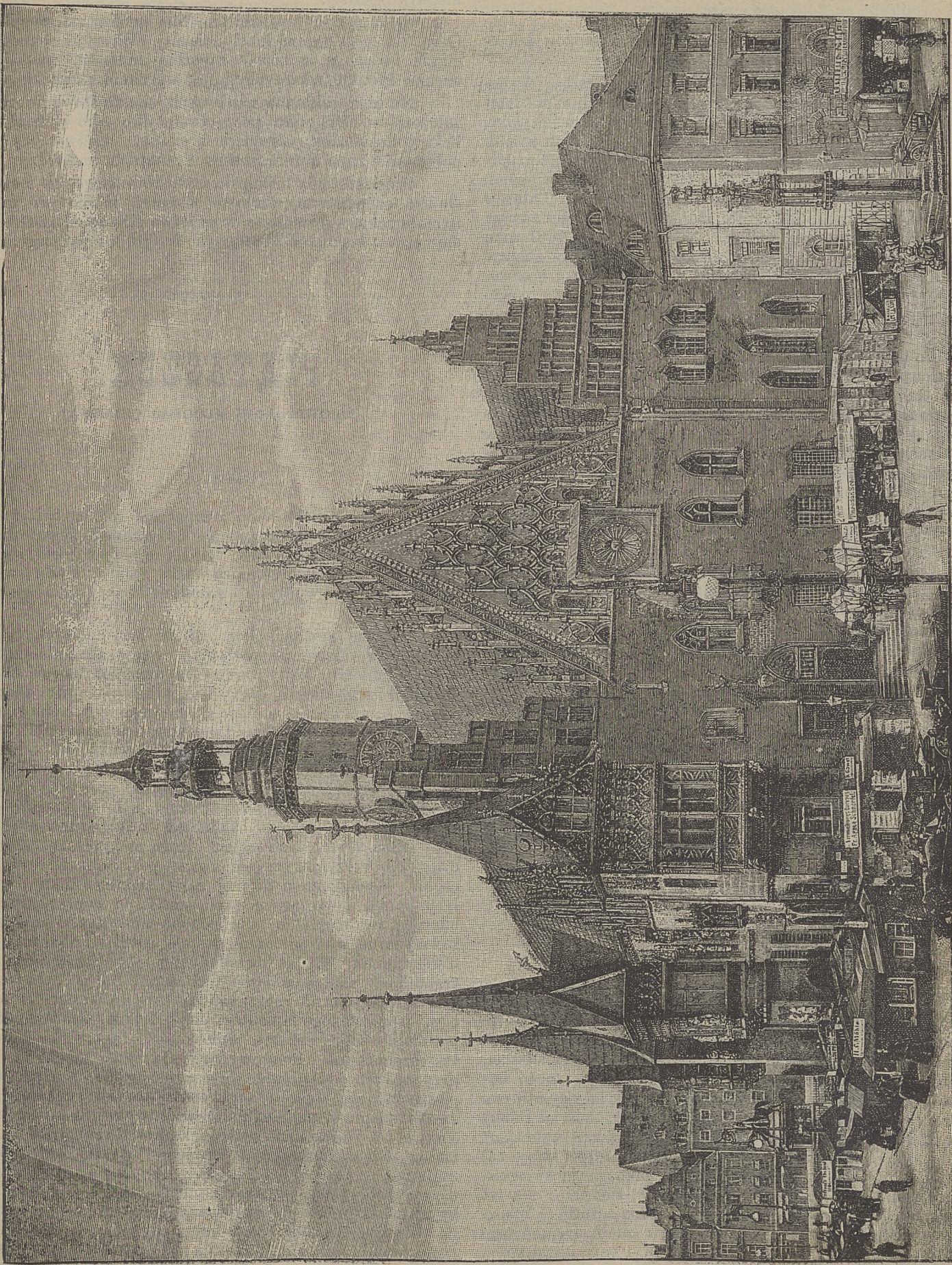
— Strasznie to odległe czasy, zanim spłacimy nasz dług, zanim...

— Zanim co? — spytała Stenia.

Ale Janek nie dosłyszał jej pytania, patrzył z wyczerpanym wzrokiem przed siebie, a w myśli stała mu ta ukochana siedziba, którą poprzysiągł sobie podźwignąć z ruiny wbrew przepowiedniom tego złego człowieka. Nagle, jakby sobie coś przypomniał, sięgnął ręką na piersi, wy dostał pugilares, wy dobył pieniądze i położył na kolanach Steni.

— Oto jest — powiedział z uśmiechem — mamy tutaj całe czterysta pięćdziesiąt rubli: czterysta, przysyłane od stryja, a pięćdziesiąt zarobione przez wakacje; te ostatnie były przeznaczone dla ciebie, gdybyś była przyjechała do Sobot.

Podczas tej rozmowy siedzieli w pokoiku, przeznaczonym dla Steni. Teraz Stenia zerwała się, podbiegła do komódki, otworzyła szufladę i przez chwilę pochyłona szukała coś wewnątrz, poczem wróciła do Janka ze zwitkiem banknotów w ręku.



Ratusz we Wrocławiu.

## ORMIANIE.

Czytając dawne wspomnienia i opisy wypadków dziejowych, często spotykamy wzmianki o Ormianach.

Właściwą ich ojczyzną jest azyatycka kraina, Armenią zwana; stąd też uważać ich trzeba za dawnych współziomków, dotąd pod jarzmem tureckim gnębionych Armeńczyków, należących do wielkiego szczepu semickiego. Jeżeli jednak obecne położenie tego narodu najśluszniej budzi nasze współczucie, nie łaskawsze były dla nich losy przed kilku wiekami, gdy, ciemiężeni we własnej ojczyźnie przez Greków, Tatarów i Turków, usiłowali kilkakrotnie się oswobodzić, lecz zawsze nieszczęśliwie pokonani zostali. Wreszcie około 1061 roku Alep Arslan, sułtan turecki z rodziny Seldżuków zburzył miasto Annikaaad, stolicę Armenii Wielkiej, leżącej w obwodzie Szyraku, ku południowi Karsu, które to miasto liczyło sto tysięcy domów i tysiąc jeden kościołów, a którego wspaniałe ruiny dziś jeszcze wzbudzają podziwienie w podróżnych.

Po tak strasznej klęsce, część tego nieszczęsnego ludu, w liczbie 20,000 bojowników pod wodzą dwóch znaczących książąt opuściła Azyę i, torując sobie drogę orężem, zatrzymała się na Krymie i Rusi, gdzie przez tamecznych książąt gościnnie przyjęta i w zmaganiach za udzieloną im pomoc w walkach przeciw Polowcom różnemi przywilejami obdarzona została. W roku 1062 Książę Dymitrowicz pozwolił Ormianom osiedlić się na Czerwonej Rusi, skąd następnie na Wołyń i Podole przeszli, a w 1270 roku Leon, książę Halicki, obdarzając ich szczególnymi swobodami, zwałił licznie do założonego przez siebie Lwowa.

Odtąd miasto to stało się głównym siedliskiem Ormian, stolicą ich biskupa i niejako punktem środkowym handlu i przemysłu, który ze szczególnymi zdolnościami lud ten uprawiał; a że obok tego nie uchylał się nigdy od służby krajowej, otrzymał od władców przywilej rządzenia się własnymi, z ojczyzny jeszcze przywiezionemi prawami, niezależnie od praw tak zwanych magdeburskich.

Bogactwa i pewien stopień kultury, jakie Ormianie wynieśli z pierwotnej swej ojczyzny, oraz wszechstronne uzdolnienie dozwoliły im z biegiem czasu zająć niejednokrotnie wybitne stanowiska w kraju, z którym złączyli się duchem, uważając go za swój ojczysty.

Załączona rycina przedstawia Ormiankę w bogatym, sułto złotem haftowanym stroju, przypominającym nieco ubrania, używane na Wschodzie.

## Ratusz we Wrocławiu.

Stolica Szląska prowincji pruskiej, prastary gród Wrocław, leżący przy ujściu Olawy do Odry, mógł zapisać w swych kronikach niejedną świetną chwilę, której był świadkiem, i przekazał potomności piękne zabytki średniowiecznego budownictwa, do jakich należą liczne świątynie, między którymi odznacza się bogaty w drogocenne pamiątki kościół Panny Maryi, zbudowany jeszcze w XIII wieku, oraz wznoszący się na rynku przedstawiony na rycinie naszej stary ratusz miejski, uważany przez znawców, jako perła świeckiego gotyku. Budowa jego, przeciągając się przez 200 lat blisko, około 1500 r. całkowicie ukończoną została. Wspaniała ornamentacja z rzeźb i fresków zdobi fronton tego gmachu, a wewnątrz należy do godnych uwagi osobliwości, mianowicie sala obrad, sala książąt i komnaty burmistrzów. Jako przeciwieństwo tej poważnej, starożytnej budowli uważać można piękny pałac królewski, który reprezentuje najbliższe nam już czasy, gdyż powstał dopiero w 1846 roku

a charakter jemu podobny nosi całe tak zwane „nowe miasto”, rozkładające się wokół starej dzielnicy, którą okalają promenady, urządzone na miejscu szańców i wałów obronnej niegdyś twierdzy.

Będąc bardzo ważnym punktem handlowym, ze splawną Odry i trzema liniami kolei żelaznej, Wrocław wznosi się ciągle i wzmaga w liczbie zamożnej ludności, dochodzącej obecnie 210,000, z których  $\frac{1}{3}$  jest wyznania katolickiego.

Na czele zakładów naukowych miasta stoi uniwersytet, założony w 1702 roku początkowo tylko jako wydział katolicki i filozoficzny, a dopiero w r. 1811 przetworzony przez połączenie z nim uniwersytetu z Frankfurtu nad Odry.

Czas założenia biskupstwa wrocławskiego nie może ścisłe być oznaczonym, wiadomo przecież, iż ono już w 1000 istniało roku, a uposażone w księstwo Nissa, od 1201 r. nadaje prawo biskupom tamtejszym do tytułu książęcego.

## PIĄTASZEK.

(OPOWIADANIE MŁODEGO CHŁOPCA).

(Dokończenie).

W jednej chwili oboje zrozpaczeni rodzice byli już przy nas, wrywając sobie wzajemnie odzyskanego syna i okrywając pocałunkami moje ręce. Scena ta przeciągnęła się dość długo, i już było dobrze po zachodzie słońca, kiedy osuszysz się jako tako w młynie, dosiadłem konia, ażeby powrócić do domu.

Rodzice moi byli oboje gdzieś przy dalszych zabudowaniach dworskich, nie spostreżeli więc wcale żadnej zmiany w moim ubiorze, który zresztą natychmiast zmieniłem, gdyby nie dreszcze i lekka gorączka, jakich nazajutrz zacząłem doznawać, nie byłiby się domyślili niczego. Nie chcąc uwierzyć w możliwość choroby, długo starałem się jej opierać, nie to jednak nie pomogło, i może w jakie kilka dni po uratowaniu Jacusia położyłem się do łóżka, zbardzo silną gorączką. Nie pamiętam nawet czy mi co dolegało właściwie, bo w chwili kiedy zacząłem nareszcie być przytomniejszym nie czułem już nic oprócz osłabienia i lekkiego zawrotu głowy. Przy łóżku moim dostrzegłem drogą moją matkę, która widząc, że otworzyłem oczy, z uwagą przypatrywać mi się zaczęła. Wyciągnąłem do niej rękę i zadałem kilka nieśmiałych pytań, dotyczących okoliczności, co poprzedziły moją chorobę, i wówczas to ta ukochana opiekunka moja, nakazawszy mi wprzód milczenie, zaczęła wśród łez objaśniać mi o wszystkim. Będąc tak młodym, z łutwością w ciągu kilku tygodni odzyskałem zdrowie i już nie tyle żał mi było tylu dni przecierpianych, ile raczej smutku i niepokoju drogich rodziców, pomnażanego lamentem mojej matki, która z góry zapewniała o mojej śmierci, wnioskując z tego, że się w piętek rozchorował. Poczciwy wulnarz i jego żona codziennie przychodzili dowiadywać się o moje zdrowie, a nawet odbyli pieszo na moją i intencję podróż do Częstochowy, z kąd powrócili z szczerem przekonaniem, że ich modlitwy zostaną wysłuchane. Tak się też i stało rzeczywiście, ku wielkiemu zdziwieniu Gomułiny, która już oplakawszy swojego Piątaszka, ledwie mogła uwierzyć, że już sam chodził teraz po całym domu i musiał używać całej mocy, jaką go natchnęła miłość dziecięca, ażeby nie uleść wilczemu apetytowi, jaki go zaczął napastować po przejściu choroby. Młodość moja odniosła w końcu zwycięstwo nad resztą złego, ale nim mogłem bez narażenia się na niebezpieczeństwo opuścić progów domu, już dawno liście opadły na drzewach, ustępując miejsca gestym płatom śniegu, oblepiającym ich nagie, sterzące gałęzie. Uczniowie wszelkich wyższych i średnich zakładów naukowych poczay-

już oddawna słuchać wykładów profesorów, i niepodobna na ten rok nawet myśleć o dostaniu się do szkoły agronomicznej. Nudziłem się więc najokropniej, nie mając żadnego zajęcia, tem więcej, że droga moja matka przez zbytek troskliwość o zdrowie jedynaka uparcie zatrzymywała mnie w domu, nie pozwalając przyjmować udziału ani w polowaniach, ani też codziennych zajęciach gospodarskich. Nie dziwnego, że kiedy przyjechał do nas na kilka dni z Warszawy wujaszek Bukowski i uprosił rodziców ażeby mi pozwoleli na pewien czas pojechać z nim razem, uważałem to za wielką łaskę Opatrzności, która mnie w ten sposób chciała od zimowych nudów.

Wujowstwo jakkolwiek oboje niemłodzi lubili życie towarzyskie, i dlatego dom ich był często ożywiony licznymi zebraniami, nie wykluczającemi nawet i tańców w razie zejścia odpowiedniego grona młodzieży. Nie celowałem ja co wada jeszcze naówczas w szkole choreograficznej, ale jako człowiek pragnący się dostroić do ogólnych wymagań tego towarzystwa, nie myślałem pozostawać w tyle za innymi. Czasu miałem aż nadto i z pomocą dawnego koleżanki Zygmunta Swirskiego, którego wkrótce po przyjeździe odwiedziłem, zacząłem uczęszczać na lekcye tańca, odbywające się w domu jego rodziców. Nie powiem, żeby owe lekcye należały do najprzyjemniejszych chwil mojego życia; koleżanki bowiem, a wespół z nimi szczególnie Kaziara, siostra mego przyjaciela, zwana przez skrócenie panną Kaziara, wystawiały nieraz na ciężką próbę moją cierpliwość. Ta panna Ziunia, ze swemi habrowemi oczkami, zadartym nosem i kędziorkami spiętrzonemi nad białym czołem, była to istny szatanek z twarzą anioła. A żywa, a figlarna, a nieszczytna, ze wzrokiem tak bystrym, że nic nie mogło ujdź jej uwagi; dawałaż się we znaki nam wszystkim. Osobliwie ja miałem zawsze od niej za swoje podczas tych nieszczęśliwych lekcyj. Wydrzeźniała mnie i mustrowała bezustannie, miała zaś to wszystko upozorować tak zręcznie dobrodusnością i mówić, że czyniła to jedynie przez wzgląd na moje dobro, że niepodobna nawet było czynić jej wymówek. Nie oszczędzała też nikogo ale moi koledzy mniej drażliwi, i łagodniejsi odemnie, obracali w śmiech jej figielki, lub nie zwracali na nie wcale, podczas gdy ja za każdym razem wracając do domu, byłem rozgorączkowany i dawałem sobie słowo, że moja noga więcej nie postanie u rodziców niegodziwej Ziuni. W końcu jednakże i ona zaczęła być dla mnie łaskawszą, nie odrzucała już mego kołysania w walcu, dreptania w polce maszystych hołubców, przynajmniej, że dzięki ich wspólnemu owianom, wyszedłem na wcale przyzwoitego tancerza. Wobec towarzystwa tych wiecznie złożonych do figlarnego uśmiechu i śmiechu młodej trzpiotki było tem przyjemniejszym dla mnie, właśnie wkrótce nadarzała się najlepsza sposobność do wyrażania przezemnie w całym blasku świeżo wydoskonalonego talentu.

Za tydzień od owej wspomnianej przezemnie daty przyjechał w tym roku dzień szesnaście lutego. Były to imieniny matki Zygmunta i Ziuni, które miano obchodzić świetniej, niż zwykle, ponieważ ta ostatnia miała po raz pierwszy wystąpić na tej zabawie, jako dorosła panna.

Młodziuchna figlarka ze zwykłą sobie żywością, ciesząc się już naprzód z oczekiwanej rozrywki, po kilka razy powtórzyła mi zaproszenie rodziców i w dowód szczególnej łaski wyjęła zamówienie do pierwszego kontredansa z maleńkimi trzęsieniami, ażebym się nie pomylił w figurach.

Cały też ów tydzień zeszedł dla mnie w gorączkowym oczekiwaniu. Był to i dla mnie dzień niemałego popisu. Bal powiadał się tak świetnie, że potrzeba było koniecznie odpowiednio wystąpić. Wujenka sama przygotowała mi cieniutki, nieporównanej białości bieliznę, frak od jednego z najlepszych krawców, biały krawat i rękawiczki leżały już w domowym komplecie w szufladzie komody, nakryte wielką, futrową chustką, a ja, nie troszcząc się już o nic, w wigilię wigilijnego wieczoru, wyszedłem na miasto dla zakupienia kilku sprawunków, nie mających nic wspólnego z tańcem i zabawą.

Były to bowiem bardzo poważne dzieła przyrodnicze, z których miałem porobić sobie notatki, dotyczące moich przyszłych nauk, i dlatego nie zapomniałem również o flaszeczce czerwonego atramentu, co miał mi posłużyć do podkreślania szczególnie ważnych ustępów.

Wróciwszy też do domu, rozwiązałem paczkę i, poroziawszy jedną z książek, zacząłem pilnie rozpatrywać się w jej treści. Przewracając kartkę za kartką, spostrzegłem z zachwyceniem mnóstwo potrzebnych szczegółów, na jakie dawno pragnąłem natrafić i sięgnąłem po czerwony atrament, chcąc je jaknajprędzej pozakreślać. Ale na nieszczęście, nie mając pod ręką korkociąga, musiałem użyć mego szczyryka, którym, zamiast wyciągać koreczek, utraciłem do połowy szyjkę od flaszeczki i o mało nie wylałem na stół całej jej zawartości. Nie mogąc sobie inaczej poradzić, udałem się do wujenki z prośbą o użyczenie jakiego odpowiedniego flakona do przelania zagrożonej cieczy i otrzymałem od niej przesliczną rzniętą miniaturową buteleczkę z napisem: „opoponax”. Była ona czyściuteńka w środku, a przyjemna woń perfum w niczem nie szkodziła atramentowi, a co więcej, tak mi się podobała, że postanowiłem nazajutrz kupić sobie takiego samego pachnidła do skropienia chustki i balowego stroju. Po dość długiem zajęciu się tak miłą dla mnie umysłową pracą, zostałem zawołany na herbatę, i spiesząc się ze sprzątaniem porozkładanych książek, mój zaimprowizowany kałamarz z czerwonym atramentem postawiłem wśród różnych drobnych gracików na komodzie. Nie mogłbym już dziś sobie przypomnieć, jak przepędziłem ten dzień tak ważny w życiu, dość powiedzieć, że zdrów i wesół oczekiwałem z dobrą myślą wieczoru, nie domyślając się nawet, jaką miał być zakończony katastrofą. Zaszedłszy dość już późno do fryzjera dla uporządkowania włosów, udało mi się nabyć taki sam flakonik opoponaxu, jaki w dniu poprzednim dostałem od wujenki do przelania atramentu. Przed dziesiątą byłem już gotów zupełnie i przejrzawszy się w dużem zwierciadle, czułem się całkowicie zadowolonym. Frak mój leżał cudownie, misternie ułożona kokardka białego krawatu wyglądała jak jaka fantastyczna motylek, uczepiony pod szyją, czupryna piętrzyła się z wielkim wdziękiem ponad czołem, a małe wąsiki czerniły się tak widocznie, że już chyba nikt nie mógł powątpiewać o ich istnieniu. Nie brakowało tedy nic już więcej! Ale gdzież tam! brakowało jednej, bardzo ważnej ozdoby, bez jakiej żaden z modnych kawalerów nie śmiałyby się pokazać w salonie. Oto nie miałem jeszcze kwiatka w butonierce! Tę uwagę zrobiła mi sama wujenka, nakłaniając do tak niezbędnego uzupełnienia balowego stroju.

— A nie zapomnij też, mój Tadzio o zadmuchnięciu lampy, skoro wyjdiesz z domu. Przygotuj sobie zapalniczki i klucz od zatrasku włóż do kieszeni, bo wujaszek jakiś niezdrowszy i zapewne niedługo uda się na spoczynek — napominała jeszcze, widząc, że już gotowałem się do wyjścia.

Ja też nie namyślając się długo, zastosowałem się we wszystkim do jej rozkazu i pobiegłem czempredziej do najbliższego ogrodniczego sklepu. Krótko też trwała ostatnia wycieczka i już chciałem się pierwszą lepszą dorożką puścić do mieszkania państwa Swirskich, kiedy wtem przyszedł mi na myśl wonny opoponax, którym miałem skropić chustkę do nosa. Szybko wbiegłem na drugie piętro, otworzyłem drzwi do zajmowanego przezemnie pokoju, i nie zadając sobie już trudu z zapalaniem światła, sięgnąłem po flakonik i zacząłem skrapiać obficie klapy od fraka i chustkę. W czasie tej operacji wykonywanej po ciemku, kilka kropel bryzgnęło mi na twarz i gors od koszuli, czego nie uważając za żadną krzywdę, narzuciłem futro, schowałem klucz do kieszeni i już tym razem wskoczywszy w pierwszą z brzegu stojącą dorożkę, zajechałem przed dom rodziców Zygmunta.

Wszedłszy z bijącym sercem po jasno oświetlonych schodach, znalazłem się niebawem w przedpokoju, lecz zaledwie zdolałem oddać futro lokajowi, kiedy wtem Ziunia, która wbiegła przypadkowo dla wydania jakiegoś rozkazu, zmierzwiwszy mnie oczami od stóp do głowy, zawołała: Jezus! Marya! a to znowu co za maskarada?

Cofnąłem się obrażony, nie mogąc na razie zrozumieć o co chodzi, lecz jednocześnie spojrzawszy w zwierciadło, krzyknąłem sam na widok tego, co tam spostrzegłem. Na samym środku mojego czoła ciągnęła się długa, czerwona smuga, łącząc się z kilkoma podobnymi centkami. Cały gors koszuli zasiany był również mniejszemi i większemi plamami, a cienka chustka do nosa, po którą sięgnąłem dla otarcia potu, wyglądała jak we krwi umaczana.

Stałem przez chwilę jak skamieniały, nie mogąc ruszyć się z miejsca pod grotami szyderczych spojrzeń służby i kilku później przybyłych gości, spoglądających na mnie jak na dziwowisko. Przez ten czas Ziunia, powróciwszy do salonu, wywołała Zygmunta, prosząc go, ażeby mi pospieszył na pomoc, lecz spostrzegłem go dopiero naówczas, kiedy, zbliżywszy się do mnie zapytał:

— Ależ na miłość Boską! jakimże sposobem mogłeś się tak umalować, Tadeuszu? Czy to nie nowy figiel owego fatalizmu, o którym mi dawniej opowiadałeś, o nieszczęsny Piątaszku!

Wyraz ten, brzmiący tak złowrogo, powtórzony przez wszystkie osoby, będące w przedpokoju, zelektryzował mnie do tego stopnia, że, skoczywszy z miejsca jak szalony, porwałem, nie patrząc wcale, pierwsze futro, wiszące na kołku, i jakiś kapelusz, który wpadł mi aż na uszy, wybiegłem na ulicę i nie zatrzymałem się aż przy bramie kamienicy, gdzie mieszkali wujostwo. W stołowym pokoju było jeszcze światło, tam więc prosto pobiegłem, nie mogąc w żaden sposób znaleźć w kieszeni klucza od zatrzasku.

Któż opisze przestrah i zadziwienie obojga wujostwa, skoro mnie tak niespodzianie spostrzegli pomiędzy sobą. Biedna wujenka, ujrawszy jaskrawe plamy na czole i na bieliźnie, omało nie zemdląła, wzięwszy je za krew, płynącą z otrzymanej przeze mnie rany. Wierzchni też ubiór, złożony z jakiegoś krótkiego, damskiego futerka i zbyt obszernego kapelusza, który wskutek ciągłego poprawiania nie mała ucierpiał, czynił mnie nie żartem podobnym do waryata. Długo jeszcze nie mogłem przyjść o tyle do równowagi umysłowej, ażeby rozpowiedzieć kategorycznie wszystkie szczegóły oplakanego wypadku, aż nakoniec, nie mogąc pohamować dłużej wzbierającego żalu, zawałałem z rozpaczą:

— Jestem ośmieszony, zgubiony na zawsze i muszę przyznać słuszność mojej poczciwej mance co do owego piątkowego fatalizmu, jaki mnie od urodzenia przesładuje. O wujaszku! żebyś wiedział, jak oni się tam wszyscy śmiali! Ta Ziunia, ci goście, służba, a nawet Zygmunt. Tak, on sam, on, z którym mnie tak długo łączyła serdeczna przyjaźń, wyśmiał mnie, nazywając Piątaszkiem.

— I doprawdy nie bardzo chybił — przerwał poważnie wujaszek. Alboż nie przedstawiłeś się wszystkim utatuowany, jak dziki człowiek?

— Ach! to te przekłete flakoniki, ustawione obok siebie na komodzie, narobiły mi tego licha.

— Nie flakoniki, ale twoja własna trzpiotowatość i nierozwaga! — zaprotestowała z kolei wujenka.

— A więc ja teraz pozwolę sobie wydać w tej sprawie ostateczny wyrok — dodał wujaszek — Tadeusz własną nierozwagą sprowadził na siebie ten wypadek i inne jeszcze

w dzieciństwo, które zjednały mu przydomek Piątaszka... wdarzając się niekiedy w piątek. Czas wszakże, aby Piątaszek zginął raz na zawsze, a pozostał tylko rozsądny, młody człowiek. Giń więc Piątaszku! chimero zabobonu wylegnięta w mózgu wnicy starej, wiejskiej kobiety. Giń, niepoprawny szalawisko, który z powodu chwilowego upokorzenia, ściągniętego na siebie przez własną niebaczność, byłbyś w stanie uwierzyć przesądowi. Zgiń i niechaj nigdy więcej nie słyszę o tobie! Niechaj odtąd wobec Boga i ludzi żyje tylko mój kochany siostrzeniec, zbliżający się do pełnoletności Tadeusz Radelski, młodzieniec z sercem i głową, zapatrujący się na wszystko przy świetle zdrowego rozsądku. A teraz skoro już nie istnieje, Piątaszku, wypada nam zagładzić do reszty twoje ślady i pomyśleć o niewinnych ofiarach tej płochości! — zakończył z uśmiechem, biorąc owe krótkie futerko damskie i zbyt obszerny kapelusz tak dotkliwie przeze mnie pokrzywdzony podczas ucieczki z balu.

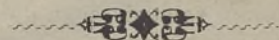
Zawstydzony, że łzami w oczach ucałował rękę wujaszka odszedłem do mego pokoju dla pozbycia się poplamionej bielizny i obmycia twarzy.

I cóż powiecie? Owej nocy, która nastąpiła po opisanej powyżej rzekomej katastrofie, pod dzielnym i trafnym ciosem przeznaczonego wujaszka Bukowskiego zginął na zawsze nieszczęśliwy Piątaszek, a wraz z nim fatalizm, mający mi towarzyszyć do grobu. Odtąd stałem się zupełnie innym człowiekiem; coś, jak gdyby łuska opadła mi z oczów, nauczyłem się zastanawiać nad każdym moim czynem i wkrótce przyszedłem do przekonania, że ja sam byłem przyczyną złego, za jakie nieraz gniewałem się na drugich. Zdobyłem się nawet na tyle odwagi, że w parę dni później sam opowiedziałem upaństwu Świrskich moją pomyłkę z dwoma flakonikami. Pusta Ziunia, wyłajawszy mię za chybionego kontredansa, wymogła na mnie przyrzeczenie, że jej to wynagrodzę na najpierwszym tańczącym wieczorze, gdzie się znajdziemy razem, byłem tylko nie chciał przebierać się znów za czerwono-skórego.

Żem tego nie uczynił, łatwo się każdy domyśli. Karował był też już na ukończeniu, a w końcu wielkiego postu wyjechawszy z wujostwem do Radełek, nie powróciłem więcej do Warszawy.

Odtąd przeminęło już lat kilka, przepędzonych w usilnej naukowej pracy, w otoczeniu nowych kolegów, wpośród których pozyskałem sobie wiele przyjaźni i życzliwości. Rok jeszcze, a już osiadę na zawsze przy boku rodziców w naszych ukochanych Radełkach, ażeby zostać z czasem wytrawnym i pożytecznym ziemianinem.

Szkoda, że tego już nie zobaczy moja poczciwa mianka Agnieszka, która przeszłego lata zachorowawszy, nie chciała opieki lekarza, przysłanego jej przez moją matkę, a obdarzając natomiast swem zaufaniem jakąś znachorkę, padła ofiarą zabobonu, tak trudnego do wykorzenia wpośród wiejskiej ludności.



#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Lew w menażeryi (z ryc.) — Wojny krzyżowe. — Dług ojcowski, powieść przez E. Jerlicza. — Ormianie (z ryc.) — Ratusz we Wrocławiu (z ryc.) — Fiątaszek (opowiadanie młodego chłopca). — Dodatek: Opowiadanie siostry przez K. Ślósarską. — Babcia i wnuczek, wiersz przez Helenę Bojarską. — Rozmowa z ojcem przez A. Rzeszotarską. — Królestwo Złocieńców. — Łamię główki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Robinson kanadyjski, przekład P. Gr.





## POGADANKA Z OJCEM.

— Mój tatusiu — odezwał się Pawełek, do wchodzącego do pokoju ojca — już tak dawno przyglądam się tym mularzom naprzeciwko, mama mówiła mi, że oni ciężko pracują. Cóż to za taka wielka praca, jak tylko usiadłem do odrabiania lekcji, widzę, że ciągle bawią się jakąś kulką uwiązaną na sznureczku.

Uśmiechnął się ojciec, usiadł obok synka, pogładził włosy jego i rzekł: posłuchajże mnie uważnie, a wytłumaczę ci tę ich zabawę.

— Patrz, oto biorę do ręki książkę, trzymam ją w palcach, jak tylko palce odejmę, książka upadnie, to samo stanie się z kajetem, z piórem, z kawałkiem kredy. Każdy z tych przedmiotów upadnie na ziemię, możnaby sądzić, że je ziemia przyciąga do siebie, jak twój magnes przyciąga lekką stalówkę, lub metalowe rybki na wodzie. Mniejsza jednak w tej chwili o przyczynę, dla której ciała spadają na ziemię, na teraz powiedzmy sobie tylko, że ciała nie podparte spadają, bo są ciężkie. Zawieszę

marz, albo najlepiej kawałek ołowiu na końcu sznureczka, żeby się i przyjmie kierunek taki sam jak przedtem. Wiesz, jak długi puszczone przedmiot. Sznurek zawieszę na górze, a czy ciężarek spadnie, czy nie, to powiesz mi.

— Ojciec, do której jest uwiązana nitka, do której jest uwiązany ciężarek, w jakim kierunku, który też nadaje się do przyciągnięcia, a czy ciężarek spadnie, czy nie, to powiesz mi.

— Ojciec, do której jest uwiązana nitka, do której jest uwiązany ciężarek, w jakim kierunku, który też nadaje się do przyciągnięcia, a czy ciężarek spadnie, czy nie, to powiesz mi.

walkiem, idącym w poprzek, zupełnie jak linijka w drukowaniu A. U wierzchołka owego A przyczepiony jest pion. Gdy równię ustawiono po raz pierwszy na stole, którego poziom wypróbowano poprzednio przy pomocy kuli, na linijce poprzecznej owego A naznaczono kreskę pionową, według wskazówki pionu. Teraz już za każdym razem, gdy przyrząd ustawią na płaszczyźnie poziomej, nitka pionu kreskę zasłoni, jeżeliby nitka padła na prawo lub na lewo od kreski, wskaże to robotnikowi, że płaszczyzna nie jest poziomą, że się pochyła w stronę nitki i że błąd naprawić trzeba. Widzisz teraz, chłopcze, że sądy pozorne mylą nas, to, co brałeś za zabawę, było sprawdzeniem, czy pracę wykonano dobrze.

— To coś tak samo tatusiu, jak z tą próbą w dziele niu, którą mam właśnie na jutro zadaną?

— Coś w tym rodzaju, a czy dobrze się bawisz przy tej próbie?

— Niebardzo, tatusiu, wolałbym słuchać, jak tatuś opowiada, bo już dwa razy przerabiam zadanie i nie chce mi wypaść.

— To niezawodnie dlatego tylko, że zamiast na tabliczkę spoglądasz zbyt często w okno i krytykujesz tych, którym przy pracy pot z czoła spływa. Spróbuj raz jeszcze z uwagą zrobić rachunek, a pewno wypadnie ci dobrze.

Pawełek posłuchał ojca, zabrał się energicznie do roboty, w parę minut skończył zadanie, a potem z wielkim zainteresowaniem przyglądał się pracy mularzy, którą teraz inaczej oceniał.

A. Rzeszotarska.

## KRÓLESTWO ZŁOCIEŃCÓW.

(Dalszy ciąg).

...ała więc gorliwie pączka, chwytając owady, które zasiedziały na pączku much, które były ukryte na włoskach przastej łodydze. Kłuiła sobie pyszczek, niecierpliwiła się i nie odeszła od rosnącego pączka. W dzień i tygodni, pączek rozwinął się w kwiat, a z niego opadła, małe ziarenka, z którego dnia rozsypały się na ziemię. Pączek z radości.

...czarna spłynęła, jak

...ajmiła jej wesołość

...ięcznym uśmiechem

...ujęła koniec

...szkie w odrobinie

...Tu rosło

...rodek za-  
...abki i sie-  
...v leszczy-

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 46-go

Słowa: Ma — te — ma — ty — ka.

Lamigłówni w kwadracie:

L e o n a r d o  
T e s s a l i a  
K r o k o d y l  
O r e n b u r g  
W i e g i n i a  
B a r b a d o s  
A r k a n z a s  
K a m b r i z o s

Rebusów: Opoka. Zapas. Nadzieja.

### Skrzynka do listów.

Pani Zofii K. w Chersoniu. Książek dla 9-o i 12-o latniej młodzieży just tak wiele, że trudno by nam było wypisywać wszyst-

nowy, obsypany szmaragdowemi liśćmi. Pod jednym z tych liści znalazły cukrowy orzech.

— Teraz — spytała Rosa — dokąd chcesz wrócić?

— Chcę — odpowiedziała Brzydalka — znaleźć się o dziesięć kroków od niebotycznego dęba.

— Nieś ja, wietrzyku — przykazała Rosa, i wietrzyk uniósł żabkę na liściu konwalii.

## VII.

### Przygody Promyczka.

Kiedy już burza przeszła, noc zapadła i cisza zaleła okoloła, Promyczek usłyszał trzepotanie skrzydeł i na tej z gałęzi dębu, w pniu, którego się znajdował, usiadał puchacz.

— Gdzieżes był, kumie? — zapytał jeden drugiego.

— Wracam z pod spalonej od piorunu wierzby, do Wiedźmo-wrona zwoływała wszystkich swoich przyjaciół — odpowiedział zapytany. Nie wiedzieć jakim sposobem uciekły jej dzieci, które więziła.

— Co to za dzieci?

— Synek i córeczka króla Złocistobrodego i królowej Złotorzęsy. Właśnie wczoraj zniknęli, wiedźma szuka ich po całym lesie i obiecuje wielkie nagrody tym, co je znajdzie, a musisz się spieszyć, bo za parę tygodni wypada doroczne zgromadzenie czarownic na Łysej Górze, i będzie musiała się stąd oddalić na czas niejaki.

Puchacz odleciały, a Promyczek, który się przypadkiem dowiedział, że jest synem króla Złocińców, zdziwiony i uradowany tem odkryciem, przepędził resztę nocy w pniu i nadzieściami dnia wydobyl się na świat.

— Nie tu nie zrobię — pomyślał — póki Wiedźmo-wrona nie odleci. Byłoby najlepiej, gdybym się dostał z powrotem do muszlowego pałacu i przeczekał te parę tygodni, potem mógłbym bezpiecznie rozpocząć poszukiwania.

Zaczął iść w stronę rzeki, wybierając miejsca najbardziej zakryte i najgęstsze. Wtem usłyszał trzask gałęzi i zobaczył małą, przygarbioną, siwą staruszkę, która nakładała z trudem wiązkę drzewa na plecy. Promyczek zbliżył się do niej.

— Czy mogę wam pomóc — rzekł uprzejmie — dokąd chcecie zanieść to drzewo?

— Do mojej chatki — odpowiedziała stara — oj, dobrze zrobisz, mój piękny chłopczyku, jeśli mi pomożesz, bo mi już i sił nie starczy; ale ci się pewno iść nie zechce, bo to bardzo daleko.

Promyczek wziął drzewo i szedł za staruszką, która stękając doprowadziła go po długiej i mozolnej drodze do małej chatki, ukrytej w najciemniejszym borze. Promyczek, przyniósłszy drzewo, rozpałił jej ogień; staruszka tymczasem, usiadłszy na niskim stołeczku, tak zaczęła mówić:

— Dziękuję ci bardzo, mój chłopczyku, dobre masz serce, że starej pomagasz. Do mnie nigdy żywa dusza nie zajrzy, mieszkam tu od bardzo dawna, a ze mną mój syn. Jego teraz niema, wróci dopiero za parę tygodni; co roku o tej porze wybiera się w podróż, i wtedy

ciężko mi bardzo, bo muszę sama drzewo przynosić i ogień rozpałać, a ręce drżą mi już od starości.

— Dziś się przynajmniej nie trudźcie, ja wam posłużę — rzekł Promyczek, stawiając garnek z wodą na ogniu. Staruszka podziękowała mu serdecznie, a Promyczek pomyślał:

Po co mam wracać do muszlowego pałacu? co będę robił przez te parę tygodni? Ot, lepiej zostanę tu, będę tej staruszce użyteczny, a tak przynajmniej nie zmarnuję tego czasu, bo użyję go na dobry uczynek. I rzekł:

— Jeśli pozwolicie, zostanę z wami, dopóki wasz syn nie wróci, nie mam co robić, a wy potrzebujecie posług.

Staruszka zdziwiła się bardzo, ale zgodziła się chętnie. I został Promyczek przy niej, przynosił jej drwa i wodę, rozpałił ogień, przygotowywał jej jedzenie, tak, że i syn lepiejby jej nie służył. Staruszka dziękowała mu bardzo za jego dobroć i okazywała coraz więcej przywiązania.

Pewnego razu siedzieli oboje przy śniadaniu, kiedy dał się słyszeć wielki hałas, jakby burza przeleciała nagle nad chatką z towarzyszeniem piorunów i błyskawic.

— Cóż to za nagła burza — rzekł Promyczek zdziwiony.

Wtem spojrzal na staruszkę. Stała wyprostowana i rzekła uroczyście:

— To nie burza, ale Wiedźma-wrona, która odlatuje na Łysą Górę. Ja zaś byłam jej znajomą i miałam chwycić was i szukać, aleś mnie przejednał swoją dobrocią. Zamiast ci przeszkadzać postaram się pomóc, o ile to jest w mojej mocy.

Mówiąc to, otworzyła okienko i wydała długi, przeciągły gwizd. Wnet podwórko zaroilo się od ptactwa: nadleciały żółte wilgi, niebieskie kraski, kukułki, pliszki, dzięcioły, sikory, dzikie gołębie i jaskółki; śpiewacy leśni: więc słowiki, drozdy, kosy, barwne gile i śliczne zimorodki.

— Kto z was — zawołała staruszka — zna najczystsze źródło w tym lesie?

Nastało chwilowe zamieszanie, wtem z pomiędzy ptaszków wysunął się mały, szary wróbelek i zaświegotał:

— Ja znam najczystszą w lesie krynicę, ki jeszcze nie zamąciło.

— Weźże te kwiaty — rzekła staruszka, po mu pęk leśnych dzwonek — i zaczerpnij w nie tej w

Wróbelek wykonał rozkaz, i po chwili wrócił gładka wróbla, niosąc napelnione kwiatki. A staruszka dała je Promyczkowi, mówiąc:

(d. c. n.)

## S Z A R A D A.

Pierwsze masz w gamie śpiewu, gdy z niem złączysz trzecio,  
Nieraz ci mowę ludzką zastąpi na świecie,  
Drugie z trzeciem, to części niejednego sprzęta,  
Które dzielą z nim ludzie, ptaki i zwierzęta.  
Wszystkie wraz nie należą do osobliwości.  
Choć są dziwnymi ryby, bez płetw i bez ości.

### ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

ułożył Stanisław.

1. Spółgłoska.
2. Ptak.
3. Miasto nad Wartą.
4. Miasto w Szkocyi.
5. . . . .
6. Znana miejscowość pod Warszawą.
7. Ogromny owoc podzwrotnikowy.
8. Samogłoska.

Srodkowe litery pionowo i poziomo złożyć powinny imię męskie.

### ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożył Ułan z T.

- |                       |                                 |
|-----------------------|---------------------------------|
| 1 . . . . .           | Z następujących sylab: brzo —   |
| . . . . . 2 . . . . . | kra—gdańsk—po—mi—bu—za          |
| . . . . . 3 . . . . . | ter—znań—ka—ry—do—at—           |
| . . . . . 4 . . . . . | ułożyć 6 wyrazów, których lite- |
| . . . . . 5 . . . . . | ry, oznaczone liczbami, złożyć  |
| . . . . . 6 . . . . . | powinny nazwisko współczesnego  |

artysty malarza. Rząd 1 Drzewo liściaste. 2) Lejkowate zagłębienie góry. 3) Miasto przy ujściu Wisły. 4) Miasto nad Odrą. 5) Nazwa króla japońskiego. 6) Mieszkaniec z nad Bajkału.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go:

Szarady: Na — u — czy — cie — le.

#### Łamigłównki sylabowej:

- 1) Zgierz. 2) Archimedes. 3) Cetwnia. 4) Hesperydny.
- 5) Antyoch. 6) Rejowiec. 7) Yokonama. 8) Abel. 9) Salamina. 10) Zakroczym.

Zacharyasz — Malachyasz.

#### Łamigłównki w trójkącie:

K o l u m b  
 O j - c ó w  
 L e o n  
 U r i  
 M i  
 B

### Skrzynka do listów.

Bardzo wdzięczni jesteśmy *Feliksowi Rom.* za przysłane nam rysunki. Rozumiemy dobrze jak jest trudno znaleźć wolną chwilę czas przy zajęciach szkolnych, tembardziej jest więc nam miłą serdeczna pamięć o Wieczorach. Rysunki wykazują wielki postęp, który nas zadziwia ze względu na wykonanie ich bez żadnej pomocy i prawdy z nauki, bo przy siedmiu lekcjach na rok,

trzeba mieć wrodzone zdolności by tak dobrze rysować. Zasyłamy szczerą radę młodemu przyjacielowi, by tej iskry talentu nie zaniedbywał, a gdy czas pozwoli, wziął się do nauki rysunków i z iskry płomień wykrzesał. Mając nadzieję, że się życzenia nasze ziszczą, zasyłamy serdeczne *Szczęść Boże* w dalszej pracy!

Łamigłównkę *Czarnej Wiewiórki i Olchy* z nad Jatwy przemyśleliśmy o ile się tylko okaże odpowiednią do druku.

Rozwiązania szarady i łamigłównki przysłane przez *Zosię R.* bardzo dobre.

Nagrody dla *Trawki* i *Różyczki* ukraińskiej już wysłaliśmy się bardzo, że odbieranie nagród sprawia taką prędkość naszym czytelnikom i mamy nadzieję, że książki przez nas wybrane będą ich zajmowały.

Znowu witamy jedną więcej korespondentkę kryjącą się pod pseudonimem *Róży*. Liścik bardzo ładnie napisany, rozwiązania szarady i łamigłównki dobre, *ale* (bo i kiedyż jest co bez *ale*?) pisując do Redakcyi nasi czytelnicy odnoszą się zwykle do „Dobrej pani” — dlaczego? — objaśnia to poniżej Jaskółka, odpisując na to pytanie jednej z czytelniczek. Zadanie na robotę, ogłaszamy podczas wakacyi, gdy czas wolny od lekczy pozwala na ręczne zajęcie. Piśmienne zaś zadania pozostawiamy na czas zimowy.

Długo mi czekać kazałaś na drugi liścik, Gwiazdka szczęścia. Widzę jednak z tego co mi donosisz, że ważne powody skłoniły cię do długiego milczenia. Podzielam twoją radość z wyzdrowienia mamy, a co za tem idzie zmiany projektów wyjazdu na zimę, miłą jest podróże dla przyjemności lub w celach naukowych, nie wtedy jednak gdy jedziemy szukać zdrowia dla ukochanych osób. Zapewniasz mnie, że teraz korespondencya nasza nie ulegnie tak długiej zwłoce, ufam twej obietnicy i czekać będę następnego listu. A mam ci jeszcze odpisać na pytanie, kto jest „Dobrą panią”, do której pisują młodzi czytelnicy Wieczorów i dlaczego nazywają ją dobrą, zamiast „kochaną”. Oto jak się rzecz przedstawia: Nieodżałowanej pamięci M. J. Zaleska, pierwotna kierowniczka Wieczorów nazywaną była „Kochaną panią”. Po jej śmierci, pani Aleksandra Borkowska, redaktorka „Kroniki Rodzinnej” i autorka kilku dzieł dla młodzieży, objawszy kierownictwo literackie naszego piśmka, nie chciała przywłaszczać sobie niejako nazwy nadanej p. Z. i w porozumieniu z czytelnikami *kochaną* zamieniła na *dobrą*, i była pod tem mianem znaną młodzieży i numerującej Wieczory, a chociaż teraz z powodu nadwątłego zdrowia, zmuszoną jest zaprzestać redagowania „Kroniki Rodzinnej”, mając mniej pracy i zajęcia, więcej jeszcze czasu poświęcać będzie mogła piśmku, do którego sercem i duszą przyłączyła się z dziećmi i młodzieżą, kocha też młody światek, poświęca mu nie tylko swe trudy i pracę, lecz myśli i serce.

Polecenie twoje, kochana Konwaliuko z nad Bachorzy spełniłam, nagrodę oddano osobie, która się po nią zgłosiła do Redakcyi, możeś ją już odebrała? Zgadza się z tobą, że odbieranie nagród to rzecz bardzo przyjemna, żebyś ty wiedziała, jak ja się cieszyłam, gdy nagradzano moje roboty! Teraz nie ubiegam się już o nagrodę, ale tak kocham was wszystkie, że w waszej radości i swoją czastkę upatruję. Siostrzyczko twojej za pamięć dziękuję i życzę wam obydwom, by gwiazdka, którą przygotowujecie dla biednych, dała wam wiele pociechy i przyjemności, na które zasługujecie dzięki waszym dobrym serduszkom.

Dziękuję ci bardzo, Słowik z nad Lubiany, żeś sobie przypomniła o istnieniu biednej, małej Jaskółki. Długie milczenie wynagrodziłaś mi swym listem, który tyle ciekawych szczegółów zawierał! Wystawiam sobie, że smutno teraz na wsi, pocieszaj się myślą, że gdy śniegi spadną i mróz ziemię ściśnie, krajobraz się rozweseli, a sanna i ślizgawka uprzyjemnią dnie zimowe. Bardzo jestem ciekawa, jaki obrałaś sobie rodzaj zajęcia. i z niecierpliwością oczekuję obiecaney wiadomości. Tymczasem serdeczne pozdrowienia przysyła wam wszystkim:

*Jaskółka.*